



KUPIĆ DYM SPRZEDAĆ MGŁĘ

Magda
Dygat

Magda Dygat

KUPIĆ DYM,
SPRZEDAĆ MGŁĘ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-81-4

Copyright © Magda Dygat

Projekt okładki: Olga Bołdok

Spis treści

[WSTĘP](#)

[Część I](#)

[Część II](#)

[EPILOG](#)

[Dunia](#)

[Julia](#)

[Honorata](#)

WSTĘP

Powroty do przeszłości są jak przecieranie omszałej szyby. Za nią jest obraz. W tym obrazie ukazuje się i po sekundzie nieruchomieje drugi plan. Widok staje się wyraźniejszy, dziwnie swojski i obcy jednocześnie. Czasami potrafi się całkowicie wyostrzyć. Wraca tamto życie.

Pojawiają mi się sceny, jedna za drugą, słyszeć nawet głosy. Niebezpiecznie się tam zapuszczać, ale za każdym razem, kiedy to się dzieje, ulegam złudzeniu, że jestem górą, że patrzę z dystansu na te stare, ukryte emocje. A one atakują i przejmują władzę, nie chcą być zamknięte w przeszłości. Etiudy filmowe. Nagle się pojawiają i nagle znikają.

Będą wracać. Nie zostawią mnie w spokoju. Siedzą przycupnięte jak w sieci internetowej, będą się tam huśtać w mojej głowie, jak w hamaku rozpiętym nad informacyjną superautostradą, do końca świata. Mojego świata oczywiście.

Jestem ich właścicielką, mam prawa autorskie do tych wspomnień. Ale co z tego? Nie mogę niczego stamtąd zabrać. Niczego zmienić. A ja bym chciała pozmienić. Zmontować inaczej, żeby nie oglądać ciągle tych samych scen. Jak ta, w której na drewnianym pomoście na plaży, między kabinami, mężczyźni grają w karty. Tam jest mój ojciec. Ja mam mokry kostium, który nie schnie, gęsią skórę na całym ciele i sine usta. Leżę na brzuchu, cała w piasku. Mogę zagłębić ręce, jeszcze nie ma w nim zużytych kondomów ani podpasek higienicznych, są tylko zgniecione pety i pudełka po grunwaldach.

Nie wiem, dlaczego pojawia mi się nagle plaża i morze. Jest w tym pewnie jakaś freudowska zagwozдка.

Morze ma ciemnogrnatowy kolor, plażowicze świecą się, wysmarowani różanym olejkim do opalania. Siedzą w wiklinowych koszach, z herbatą w butelce zatkanej korkiem z gazety. Mają kanapki zawinięte w papier i rozmiękle od słońca truskawki w słoiku. Ktoś lawiruje na palcach między kocami, w obu rękach trzyma lody. Głosy rozchodzące się wokoło brzmią echem. Od granatowego morza wieje chłodny wiatr i piszczy suchość piasku. Zdecydowanie teraz jestem tam, bo wchodzi nagle ostry zapach plastiku, kolorowa piłka przelatuje nade mną, lądując na piasku. Pachnie Zachodem. Ktoś ją przywiózł z „Zachodu”. Tajemnicze słowo, za którym kryje się nieosiągalny świat zapachów: papierosy w kartonowych pudełkach, mydełko Lux, perfumy, kostki do kąpiel i orlonowe sweterki. To wszystko można kupić w specjalnych miejscach za bony – takie niby-pieniądze, jakby zrobione do zabawy w sklep.

Zachód można zobaczyć w filmach i usłyszeć w muzyce, najlepiej pod kołdrą w nocy. Fala radiowa odpływa razem z głosem spikera i wraca. Odlotowe Radio Luxembourg. Zaczarowany świat. Gdzieś tam jest. Zbyt nieprawdopodobny, żeby uwierzyć, że istnieje naprawdę.

Jest mi coraz zimniej, mogłabym pójść do kabiny i zmienić kostium. Mogłabym, ale nie chcę, dopóki kręci się tam, koło mojego ojca, ta blondynka, co naśladuje Marinę Vlady. Matka ma niedługo premierę, nie wolno jej zawracać głowy, ojciec gra w karty, a potem też będzie się uczył roli.

Mam chyba dziesięć lat, jestem z rodzicami na wakacjach, powinnam być szczęśliwa, ale nikt się mną nie zajmuje. Kiedy się pojawiam, mam wrażenie, że wpadają w popłoch, jakby chcieli powiedzieć: „Ojej! Dziecko, a tu kompletnie nie ma się gdzie schować”.

Chciałabym być zauważona, dlatego stoję po szyję w wodzie, w kolejce do drewnianych huśtawek, żeby ktoś zobaczył, jak odważnie rzucam się w morze. Chciałabym się liczyć chociaż przez chwilę, ale nikt na mnie nie patrzy. Jeszcze nie wiem, że to będzie miało później znaczenie, o wiele później, kiedy zaczną mnie atakować małe demony. Pewnie z powodu stłumionego w dzieciństwie poczucia niskiej wartości.

„Małe, pozornie niewiele znaczące epizody z dzieciństwa stają się źródłem wulkanicznych wybuchów w życiu dorosłym”. Cały czas trzeba trzymać rękę na hamulcu.

Nie zawsze potrafię. Jeżeli się nie uda, prawie zawsze żałuję. Jeszcze nie wiem, że kiedyś sama będę miała córkę. Jeszcze nie wiem, że też nie będę lubiła być matką.

Są różne inne filmy na półkach w mojej głowie. Czasami zaczynają lecieć bez uprzedzenia, tak jakby ktoś niechcący usiadł na pilocie i włączył „play”. Jeden zaczyna się od ciemnego korytarza z kufrem pod ścianą. Na końcu korytarza jest pokój, w rogu małe, wąskie łóżko, na nim pod różowym kocem śpi dziecko. To ja. Pokój jest ciemnawy, nie ciemny, bo drzwi muszą być uchylone, żeby światło wpadało do środka.

Strach przed ciemną czeluścią, na którą co noc skazują mnie dorośli. Może to nawet nie chodzi o światło, raczej o kontakt z życiem, z ciągłością, którą brutalnie przerywa sen, żeby jutro zacząć wszystko od nowa, a nigdy nie ma pewności, czy jutro będą obowiązywały te same zasady. Cisza i ciemność, moi niewidoczni wrogowie, czają się, żeby mnie udusić. Jakiegokolwiek dźwięki uspokajają – może być skrzypienie podłogi, ale lepsze są ludzkie głosy, najlepiej z radia za ścianą.

W tej szarej ciemności zaczynają się pojawiać sceny. Nie ma się gdzie schować, za późno, żeby uciec, najlepiej się nie ruszać. Przestrzeń trzeszczy. Zaczyna się sen, ale ja jeszcze nie wiem, że to już sen. W moim śnie wybucha bomba w sali gimnastycznej, gdzie odbywa się akademie ku czci wielkiego wodza, są występy, pełno ludzi. Wszystko w jasnoniebieskim kolorze. Wokół leżą zabici, krew na ścianach i na podłodze staje się powoli niebieska. A ja żyję, jestem niemym, przyglądającym się z offu obserwatorem. W szkolnej łazience na kaflach porzucane kawałki ludzkich ciał i ten jasny niebieski kolor, dziwny zapach.

Pojawia się moja matka. Jest blada, uśmiecha się dziwnie, jakby przepraszała. Słyszę, jak ktoś mówi, że ona już nie żyje, i nagle budzę się zdrętwiała ze strachu. Będę wiedziała, że to był sen, kiedy się obudzę, ale to niczego nie zmieni. Włosy przyklejone do poduszki, jest gorąco, otwieram oczy, na razie widać tylko ciemność, potem szparę w drzwiach i kawałek różowego koca, ale krzyk: „Mamo!” – brzmiący jak: „Ratunku!” – nic nie daje. W domu nie ma nikogo. Najlepiej leżeć bez ruchu i czekać. Ta ciemność stanie się teraz ucieczką do poranka. Jeżeli uda się szybko zasnąć, obudzę się w jasnym pokoju. To tylko sen, tylko sen. Dlaczego mi się przyśnił?

Rano moja matka jest w swoim łóżku, śpi. Obudzona, stara się opanować irytację i mówi do mnie zaspanym głosem:

– Idź do szkoły, Julia, idź gdziekolwiek. – I po chwili pociesza mnie: – Jak ci się śniło, że umarłam, to znaczy, że będę długo żyła. Taki jest przesąd.

Ma na pewno kaca i nawet na mnie nie patrzy, może znowu zastanawia się, czy gdyby nie ja, mogłaby zająć się swoją karierą. Musi przepływać przez nią chwilowa fala przebijającego się z daleka poczucia winy, pomieszanego z udawanym zainteresowaniem, bo znudzonym głosem pyta:

– A jak tam w szkole? Będziesz tańczyła poloneza na akademii?
Zbieram się szybko, mam nadzieję, że uda mi się wyjść, zanim usłyszę:

*W raju wszystkiego dostatek,
Co dzień to inna zabawka:
Gdzie stąpim, wypływa trawka.
Gdzie dotknem, rozkwita kwiatek.*

Jej pierwsza poważna rola, Aniołek w *Dziadach*, wraca do niej przez całe życie, o różnych porach dnia i nocy. Przeskakuje w czasie, znów jest aktorką. Chowa się przede mną, tam gdzieś na scenie, i zadamawia się na nie wiadomo jak długo. Ma towarzystwo, jest w

miejscu, gdzie wszystko ma sens, a słowa tworzą urojony świat, z którego nikt jej nie wyciągnie. Przynajmniej przez jakiś czas.

Ona w ogóle do mnie nie pasuje, ta moja matka. Tak jak nie pasuje mi jej imię. Dunia. Matki nie mają na imię Dunia. Maria, Zofia albo Małgorzata – to są imiona dla matek.

CZEŚĆ I

1

Dunia kuli się w swoim łóżku, boli ją głowa. Jest wściekła, że została obudzona, czuje się bezbronna. Coraz bardziej wciągają ją natrętne myśli, przepychają się jedne przez drugie, niecierpliwe i agresywne. Chciałaby zasnąć jak najszybciej, żeby nie pojawiły się sceny z wczorajszego wieczoru. Nie chce przypominać sobie, gdzie była ani z kim.

Ma nadzieję, że córka wyszła już z domu. Zepsuła jej humor. Po co opowiadać komuś swoje sny? Oczywiście, że jak się śni, że ktoś umiera, to znaczy, że będzie długo żył. Nie żeby Dunia znowu tak bardzo wierzyła w sny, ale w to wierzy. Naciąga kołdrę na głowę. Ma obronić ją przed jej życiem, złymi decyzjami, aferami, które odciągnęły ją od teatru, od artystycznego świata, od sztuki. A przede wszystkim od mężczyzn.

Nie sprawdzili się, prawie wszyscy ją zawiedli. Właściwie wszyscy. Schowała w pamięci jedno prawdziwe szczęście. Rzadko do niego wraca. Boi się, żeby nie spłowiło, nie straciło mocy.

Miała osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Był zbyt idealny, żeby istnieć naprawdę. Może jej się tylko przyśnił? To było dawno. Czasami jest na niego zła, że jej nie szukał. Miał przyjechać, znaleźć ją, gdziekolwiek by była. Po co jej przydarzyła się taka miłość, jeżeli nie miała trwać? Los z niej zakpił. Pokazał, jak może być, dał na chwilę, jakby pożyczał, i szybko zabrał. Uważał pewnie, że na takie szczęście nie zasłużyła.

Teraz wie, że taka miłość zdarza się tylko młodym i niewinnym. Musi trwać krótko i musi zniknąć. Każdy, komu się przytrafi, szuka jej potem przez całe życie, ale ona się nie powtórzy. Mimo to Dunia zawsze, kiedy potrzebuje, w takich momentach jak ten, może sięgnąć po to zamknięte w pamięci, nie do końca wypłowiałe, schowane przed światem szczęście. Ono huśta się w jej głowie uspione, wysoko ponad informacyjnym zamętem i czasem.

Tyle było dziwnych momentów w jej życiu. Nie chce o nich pamiętać. W ogóle nie chce teraz myśleć. O wczorajszym wieczorze szczególnie. Słaba nadzieja, że nic się nie wydarzyło. Jeżeli z kimś się pokłóciła, to na pewno miała rację. „Już nie pij, Dunia”, powiedział ktoś, może nawet życzliwie, ale tą uwagą poważnie ją rozdrażnił. Nienawidzi, jak traktuje się ją protekcyjnie. Może czasami za dużo pije. Ale nie ona jedna. Nie ma sobie nic do zarzucenia. To inni zachowują się niestosownie. Męczy się z ludźmi, bo są wobec niej niesprawiedliwi.

Od lat wszyscy usiłują jej wmówić, że pozbawiona jest samokrytycyzmu. Przychodzi ufna, oczekująca aprobaty, wyrozumiałości i sympatii, ale zauważa każdy najmniejszy przejaw chłodu. Może dlatego, że nie jest i nigdy nie była powierzchowna. Angażuje się w sprawy przyjaciół, przejmuje ich problemami, a potem nagle jakoś źle na tym wychodzi. Zarzucają jej, że za daleko posuwa się w szczerości. Aktorzy są tacy przewrażliwieni, łatwo się obrażają, większość nie ma poczucia humoru.

Poszła wczoraj do teatru, pamięta. Potem ze wszystkimi na kolację do klubu aktora. Zdaje się, że trochę skrytykowała przedstawienie, później może skrytykowała ich samych, mogła też powiedzieć coś na temat reżyserii, ale na pewno podobały jej się kostiumy. Tylko co to była za sztuka? Pamięta, że dobrze oceniła scenografię. Powoli coś wraca, ale bardzo powoli. Scenograf był sympatyczny i przystojny. Prawił jej komplementy. Jak od tej życzliwej i niewinnej krytyki doszło do wypomnienia głównej aktorce, że przed wojną była

fordanserką? Trochę ją poniosło, ale to szczerą prawdą. Była fordanserką, i to w nie najgorszej restauracji, o czym Dunia wspomniała. Tak naprawdę to była kurwą i powinna być wdzięczna, że Dunia o tym nie powiedziała. Teraz gra główne role, bo jej mąż jest dyrektorem teatru. To nie jest prawdziwy sukces artystyczny, tylko kumoterstwo i uprawianie seksu w celu osiągnięcia korzyści zawodowych.

Niewykluczone, że Dunia o tym również wspomniała. Ludzie nie lubią, kiedy mówi im się prawdę w oczy. Ktoś powiedział, że cała ta jej pijacka szczerść wynika ze zgorzknienia. Możliwe.

Nie gra od dawna, a zna swoją wartość. Przed wojną i po wojnie najlepsi reżyserzy i recenzenci zachwycali się jej talentem. Grała z największymi. Jest profesjonalną aktorką z dużym dorobkiem. Bez pracy. Do tego musi znosić byłe fordanserki, grające po czterdziestce Gruszeńkę w *Braciach Karamazow*. Patrząc, jak odznaczane są orderami, których przed wojną nie było. Aktorzy nie bywali laureatami nagród państwowych, byli artystami, a nie urzędnikami. Nagradzała ich publiczność – wiernością i entuzjazmem, nagradzali recenzenci – wychwalając ich talent, a dyrektorzy teatrów – dając im główne role. Ale zawsze najważniejsza była publiczność. Usprawiedliwiała chęć chowania się przed samym sobą. Przypominała, co znaczyło być prawdziwym aktorem.

Po wojnie wszystko się zmieniło, ale ona nie umiała się zmienić. Była prawdziwą artystką, wrażliwym człowiekiem, przyjaźniła się z ludźmi otwartymi i zagubionymi. Nie walczyła nieszlachetnie, nie niszczyła rywalek. Pewna swojego talentu, ale nie arogancka i jej zdaniem nie pozbawiona samokrytycyzmu.

Może była trudna i wymagająca, ale zawsze hojna i wspierająca początkujące aktorki. Jeżeli były zdolne. Nigdy nie spała z mężczyznami znajomych, co robiła większość koleżanek, a nawet jej najbliższe przyjaciółki. Co najmniej trzy spały ze Stefanem, jej pierwszym mężem, o czym dowiedziała się od niego. „Ładne ty masz przyjaciółki” – mówił potem. Po burzliwej awanturze wychodził obrażony. „No i widzisz, jak to nie warto być uczciwym. Szczerść się nie opłaca. Od tej pory niczego się już ode mnie nie dowiesz”.

Dunia zsuwa się powoli pod kołdrę, chce zasnąć. Najgorszy sen jest teraz lepszy od rzeczywistości.

2

Teatr nie był Duni wyborem. Urodziła się w rodzinie aktorskiej. Na scenie występowała od dziecka. Ojciec był aktorem i reżyserem, matka suflerką. Dunia chciała zostać lekarką. Lekarze wiedzą wszystko najlepiej, opiekują się ludźmi, są dobrzy i szlachetni. Ale teatr był miejscem, z którego nie umiałaby się wyplątać. Krąg zamknięty i otwarty jednocześnie, inny niż wszystko, co działo się na zewnątrz. Była jak mnich ze średniowiecznej ryciny: wygląda przez sklepienie niebieskie, widzi wszechświat, ale nie może się do niego przedostać.

W teatrze grała role, w domu robiła zabawkom zastrzyki. Te szmaciane zaczynały się w końcu rozkładać, umierały, trzeba je było wyrzucać. Ratowanie było trudniejsze niż występowanie na scenie. Los nie chciał, żeby była lekarką. Trudno.

Urodziła się w czasach, kiedy dziewczynki dostawały imiona po poległych bohaterach legionistach. Poważne i stateczne nie zmieniały imienia, pani Józefa, pani Kazimiera, pani Janina. Na ogół zostawały nauczycielkami i działaczkami społecznymi. Szlachetne, poważne Polki patriotki. Bardziej kobiece skracali: Stanisława do Sława, Ludwika do Wika, a artystki – do Pusia, Misia, Lala. Dunia dostała imię po wujku ciotecznym. Umarł w szpitalu polowym na pół roku przed jej urodzeniem.

Na stoliku przy jego szpitalnym łóżku, obok zdjęcia dziewczyny trzymającej się gałązki kwitnącego drzewa, leżał list.

Piszę po raz ostatni, jeżeli nie wrócisz w przeciągu tygodnia, wychodzę za mąż za kogo innego.

Lusia

PS. Słyszałam, że wszyscy legionieści dostaną przepustki od 3 kwietnia!

Pocztówka: „Moskale uciekają, już niedługo będę we Lwowie, Władysław”, przyszła do domu dwa dni po jego śmierci.

Władka, Władunia, Dunia. Zdrobnienie pasujące do małej aktorki, biegającej po całym Miejskim Teatrze Wielkim we Lwowie. Spędziła w nim dzieciństwo i młodość. To był jej teatr. Miał pełno korytarzy, luster, zakamarków i zamkniętych pokoi. Czasami straszył. Pachniał kurzem, perfumami, papierosami i nie wiadomo czym jeszcze. Wystawiano w nim dramaty, komedie, bajki dla dzieci i opery.

W ciągu dnia spał. Ciemny, nieprzyjazny i cichy, z oświetloną tylko sceną, gdzie aktorzy docierali trochę po omacku. Ożywał wieczorem, obudzony hałasem, włączonymi światłami. Szerokie aksamitne schody wypełniały się gośćmi, których w jakimś momencie przejmowała widownia. Schody stawały się wtedy znów ciemnawe i puste. Publiczność powoli cichła, gasło światło, podnosiła się kurtyna. Widzowie wciągali się w środek akcji toczącej się na scenie.

Działy się na niej różne rzeczy, zależnie od wieczoru, ale widzowie nie byli dopuszczani do tajemnicy, jaką znała Dunia. Za sceną, za ustawionymi dekoracjami, była jeszcze jedna, niewidoczna kurtyna i tam akcja sztuki trwała nieustannie, nawet gdy w teatrze nikogo nie było. Przedtem i potem. Żadne przedstawienie nie kończyło się z opadnięciem kurtyny, przenosiło się tylko do innego kręgu i trwało, kiedy publiczność dawno już spała.

Aktorzy, wychodząc do ukłonów, odbierali widzom złudzenie, że to wszystko, co widzieli, działo się naprawdę. Dunia miała wyrobioną opinię na ten temat. „Bo największą siłą teatru jest umiejętność przekazania magicznej tajemnicy”, mówił jej ojciec.

Próby zdecydowanie różniły się od przedstawień. Reżyser krzyczał na aktorów, pisarz zwał winę na reżysera, kostiumolog obrażał się na kogo popadło, a scenograf tylko na malarzy. Ważny był każdy i każdy krzyczał. Wieczorem jednak, kiedy kurtyna szła w górę, liczyli się tylko aktorzy. Teatr był ich życiem. Innego nie mieli. Należeli do elity artystycznej Lwowa i do siebie. Tak było w tamtych czasach.

Podczas spektakli bez udziału muzyków często siadała na stołku dyrygenta w kanale dla orkiestry. Mogła widzieć jednocześnie scenę, całą teatralną maszynę i kręcących się nerwowo w kulisach aktorów. Obserwowała, jak całują się chłopcy z baletu – podobno, żeby nie zapeszyć szczęścia – i wiedziała, gdzie wszyscy członkowie Miejskiego Teatru Wielkiego we Lwowie chowają alkohol. Czasami ktoś płakał, innym razem śmiał się bez powodu, aktorzy syczeli na siebie albo się znacząco ignorowali. W ogóle wyprawiali różne przedziwne złośliwości.

Obserwowała ich twarze na sekundę przed wejściem na scenę, widziała, jak zmieniały się w światłach reflektorów i znów normalniały w kulisach. Zapalały się i gasły. Przyglądała im się, kiedy stali za sceną pozornie rozluźnieni, ale ciągle jeszcze przeładowani emocjami i tremą. Ci sami i inni jednocześnie. Poznawała strategie, chwyt i taktyki. Widziała, jak uczyli się od siebie rzemiosła, podkradali pomysły. Jedni zdolni, inni pracowici.

Wierzyła w postacie przez nich kreowane i wiedziała, jakie są ich prywatne, prawdziwe dramaty. Znała większość ich ról na pamięć. Recytowała na zawołanie Mickiewicza, Słowackiego, Fredrę i Szekspira. Miała w głowie historię dramatu, komedie i bajki.

Żeby dostać się na górę, do bufetu, musiała przeciskać się na wewnętrznych schodach między baletnicami, brodacami, Grekami w tunikach, bachantkami w powiewnych szatach, kumoszkami z Windsoru, rycerzami, subretkami, halabardnikami i damami w kapeluszach pełnych piór – zależnie od przedstawienia. Szli na scenę albo wracali do garderoby, gdzie przed każdym spektaklem histeria i panika aktorek mieszała się z profesjonalnym spokojem garderobianych. „Co wieczór to samo”, mówiły, kiwając głowami. „Krzyczą, że nie zdążą, nie mogą niczego znaleźć. Zwariowana praca”.

Zdarzało się, że aktor przychodził na spektakl pijany, spóźniał się albo nie pamiętał roli, maszyniści montowali dekoracje z innej sztuki, a inspicjent zapominał położyć na scenie rekwizyty. „Nie wyjdę na scenę w tych czerwonych szponach”. „To znaczy mam przejść przez całą scenę w podskokach, a na końcu upaść?” „Widziałas, jak pluł na mnie w czasie monologu?”

Dunia słuchała, patrzyła i zastanawiała się, czy na zewnątrz, poza teatrem, wszystkich tych dorosłych ludzi traktuje się poważnie.

Bufet był najważniejszym miejscem w teatrze. Maszyniści, bileterki, dyrektorzy, statyści i aktorzy jedli tu i upijali się, uczyli roli, rozstawali ze sobą i do siebie wracali. Załatwiali różne, niesłychanie tajemnicze i ważne interesy.

Dunia słuchała, kto z kim śpi, kto jest beztalenciem, kto komu ukradł rolę. Wiedziała, na co aktorzy pożyczali od siebie pieniądze i jakie były powody, że ich nie oddawali. „Pedzio, Duniu, to jest mężczyzna, który lubi tańczyć” – zawsze poważnie odpowiadali na jej pytania. W bufecie mówiono o gwiazdach Teatru Wielkiego i kochankach dyrektora. To było jej normalne życie, jej zabawy, jej dzieciństwo i młodość. Czuła się tu lepiej niż w domu. Oprócz perukarni. Tam straszło. Na stołach leżały świeżo ścięte warkocze: blond, czarne i rude. Duni wydawało się, że są żywe i chcą opowiedzieć tragedie swoich właścicielek. Zawsze szybko przebiegała obok tej pracowni, zwłaszcza kiedy drzwi były otwarte.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI